

Tadeusz Pilch

Wyższa Szkoła Informatyki i Ekonomii TWP w Olsztynie

W kalejdoskopie miejsc i życiowych doświadczeń

In the kaleidoscope of places and life experiences

ABSTRACT: The text corresponds to the current discourse concerning the role of “the place of memory” in the contemporary world. This refers to the memory of a location – memory about a location and about its meaning. The memory of a location is embodied memory, typical of people who live in a certain place and experience it individually, emotionally, “from the inside”. The memory of a location is usually the “memory of the heart”, meaning the world of imagination, evaluations and emotions transformed by sentiments. The text is an attempt to recognise the association between a location and its role in the meanders of life. It is also a search for the association between a location and its meaning in the life experiences of a philosopher and pedagogue. It includes a story in which the reader can find some connections between a location, a time, events and life experiences, as well as bonds and attitudes. On the basis of the story of Professor Tadeusz Pilch, we try to find out how experiences and memories relate to particular places. Are they important for the formation of one’s own life story and what is that importance? And finally, how does the memory of family, home and workplace guide the Author of the memoirs through his course of life?

KEYWORDS: Place, life experiences, memory.

STRESZCZENIE: Tekst wpisuje się w aktualny dyskurs dotyczący roli „miejsca pamięci” we współczesnym świecie. Dotyczy pamięci miejsca, pamięci o miejscu i jego znaczeniu. Pamięć miejsca jest pamięcią ucieleśnioną, charakterystyczną dla osób mieszkających w danym miejscu i doświadczającego go indywidualnie, emocjonalnie, „od wewnątrz”. To zwykle „pamięć serca” – przetworzony przez sentymenty świat wyobraźni ocen, emocji. Celem rozważań jest próba poznania związku pamięci miejsca z jego rolą w życiowych meandrach. To także poszukiwanie związku miejsca i jego znaczenia w doświadczeniach życiowych filozofa-pedagoga. Jest to opowieść, w której czytelnik odnajduje powiązania miejsca, czasu, zdarzeń i wydarzeń życiowych, postaw, więzi; zastanawiamy się, jak doświadczenia i wspomnienia łączą się z konkretnymi miejscami, czy i jakie mają znaczenie w kształtowaniu własnego losu, i wreszcie – jak pamięć rodziny, domu, miejsca pracy prowadzi przez życie Autora wspomnień.

SŁOWA KLUCZOWE: Miejsce, życiowe doświadczenia, pamięć.

Uwagi wstępne

Wspomnienia, biografie, autobiografie zajmują coraz więcej miejsca na księgarskich półkach. Chętnie po nie sięgamy. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że poszukiwanie korzeni, pielęgnowanie wspomnień staje się coraz bardziej popularne. Poznajemy historię rodzin poszukując swoich krewnych online, skanujemy stare zdjęcia i zamieszczamy je w wirtualnych drzewach genealogicznych, organizujemy zjazdy rodzinne. Coraz częściej uważnie przyglądamy się i słuchamy miejsc, aby zbudować w sobie spójny układ odniesienia.

W ostatnich dekadach także w polskiej literaturze pedagogicznej wyraźnie pojawiły się dwa terminy dotycząca miejsca: pedagogika miejsca i pedagogika pamięci. Nie są to jednak w refleksji pedagogicznej nowe zagadnienia, gdyż towarzyszyły rozpoznaniom i analizom dotyczącym wychowania już wcześniej, ponieważ dokonuje się zawsze „gdzieś” i ma „swoje miejsce” – zauważa Maria Mendel we wstępie do monografii skupionej właśnie wokół pedagogiki miejsca (2006).

Niniejszy tekst trudno ująć w ramy definicyjne. Jego treść z całą pewnością wpisuje się w aktualny dyskurs dotyczący roli „miejsca pamięci” we współczesnym świecie. Ma jednak charakter nieco przewrotny, gdyż odnosi się do „pamięci miejsca” i jego znaczenia. Według Paula Connertona (za: Lewicka 2012) pamięć miejsca ma dwie formy, tj. umiejscowienia (*locus*) oraz upamiętnienia (*memorial*). Podobnego rozróżnienia dokonał Pierre Nora (2011) na naturalne środowisko pamięci (*milieux de memoire*) oraz miejsca pamięci (*lieux de memoire*). Pamięć miejsca jest pamięcią ucieleśnioną, charakterystyczną dla osób długo mieszkających w danym miejscu i doświadczających go indywidualnie, emocjonalnie, „od wewnątrz”. Pamięć drugiego typu – „upamiętnienia” – wynika z wiedzy obserwatora; nie jest uwewnętrzniona ani przeżyta.

Pamięć miejsca to kategoria ontologiczna; to m.in. materialne, przestrzenne, rzeczowe umiejscowienie w naszej przeszłej egzystencji. Pamięć serca to wysublimowany i przetworzony przez sentymenty świat wyobraźni, ocen, emocji. To dwa światy bytu i emocji, ale jednak ściśle ze sobą powiązane i współzależne. Dlatego prezentowany tekst, na bazie wspomnień miejsc, osób, wydarzeń i zdarzeń, sytuacji i doświadczeń ma charakter faktograficzny i refleksyjny. Jego celem jest próba poznania związku pamięci miejsca z jego rolą w życiowych meandrach. To także poszukiwanie związku miejsca i jego znaczenia w doświadczeniach życiowych filozofa-pedagoga. Nie piszemy więc o „miejscu pamięci”, lecz o „pamięci miejsca”. Dlatego w prezentowanym tek-

ście pojawia się pytanie o miejsce w pamięci i jego odczuwanie; o refleksję skupioną wokół doświadczeń życiowych. Tekst nie ma charakteru wywiadu; nie jest też analizą pojawiających się wątków. Znajduje się w nim opowieść, w której czytelnik odnajduje powiązania miejsca, czasu, zdarzeń i wydarzeń życiowych, postaw, więzi. Dowiadujemy się jak doświadczenia i wspomnienia łączą się z konkretnymi miejscami, czy i jakie mają one znaczenie w kształtowaniu własnego losu. I wreszcie – jak pamięć rodziny i domu prowadzi przez życie Autora wspomnień?

Sposób rozumienia miejsca ściśle powiązany jest z kierunkami interpretacji pamięci miejsca. Ten kierunek wybrzmiewa w pracach Duccio Demetrio, który „postrzega pamięć jako skarbnicę tożsamości, doświadczeń, przeżyć i wspomnień bogatą i wzbogacaną wraz z postępowaniem wieku”. Nieocenioną wartość, według tego włoskiego badacza, poczynając od najwcześniejszych lat życia, ma wzrastanie w bliskości z praktyką wspomniania. „Istnienie tożsamości bez dialogu z innymi ludźmi, z przedmiotami, ze stanami ducha nie jest możliwe. Wszystkie te elementy układają się w całość tworząc tajemne alchemie, by w odpowiedniej chwili, i to bynajmniej nie z wybiciem dokładnej godziny, oddać nam to, co stanowi istotę naszego jestestwa” (Demetrio 2008, s. 26).

Wioleta Danilewicz

Siła pamięci miejsca i ludzi

Należy zacząć od ważnego, choć oczywistego stwierdzenia. Pamięć i miejsca i jego emocjonalna ocena noszą nieusuwalne znamię indywidualizmu. Każdy ma swoją pamięć miejsca – nawet jeśli dotyczy tego samego. A już szczególnie wówczas, gdy dzieli nas od niego szmat czasu. Z upływem lat zmienia się obraz miejsca, zmienia się jego struktura i wymowa indywidualna. Jedne elementy zasnuwa mgła zapomnienia, inne nabierają wagi. Zmienia się ocena i wyobrażenie o znaczeniu „tamtych” miejsc i związanych z nimi wrażeń z przeszłości. Zachowałem w pamięci „urok” moich miasteczek z lat młodości, czyli z lat 50. ubiegłego wieku: Brzeska i Tarnowa. Kiedy dziś widzę jak wypiękniały, jak się „zeuropeizowały” jestem pod ogromnym wrażeniem i z satysfakcją je dzisiaj podziwiam. Ale to nie odbiera uroku moim, tym samym miastom dzieciństwa, które dla postronnego obserwatora wówczas były przasne, zapyziałe, a dla mnie zachowały urok młodości.

Indywidualne spojrzenie na przeszłość staje się szczególnie dobitne, gdy bieg życia był różnorodny, albo inaczej mówiąc – bogaty. Moje życie bieгло

przez wszystkie niemal środowiska społeczne, przez ogromną liczbę miejsc, przez niesłychanie zróżnicowane i „ciekawe” czasy, obok ludzi i zdarzeń, z których każdy i każde zasługuje na swoją monografię.

Urodziłem się – powiem literacko – jako wiejski pastuszek. Kończę swe życie jako emerytowany profesor uniwersytetu. Urodziłem się tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej i całym świadomym życiem uczestniczyłem w wielkiej liczbie przełomów, zakrętów politycznych, ustrojów i formacji, aby dożyć pełnego, demokratycznego ustroju, z pozoru całkowicie zabezpieczającego demokratyczne prawa człowieka. Choć aktualne wydarzenia zdają się utwierdzać przekonanie, że nic nie jest dane raz na zawsze. Urodziłem się w typowej, małopolskiej wiosce i poprzez średnią szkołę w pobliskim miasteczku, studia w Warszawie, staże naukowe w kilku krajach Europy, wreszcie podróże po licznych krajach świata pozwoliły mi poznać różne środowiska, kultury, grupy zawodowe i społeczne ukazujące swoje nieobjęte wyobraźnią bogactwo i różnorodność. Urodziłem się, można powiedzieć, na łonie natury ale przez studia filozoficzne i chłodną obserwację osobliwości i dziwów tego świata i człowieka stałem się niezależny od natury, przeszedłem w świat agnostycznych przeświadczeń i aksjologicznego sceptycyzmu. Urodziłem się, jak określa to socjologia, w środowisku ubogim w kapitał kulturowy i mimo sporego wysiłku i pewnych starań nie nadrobiłem, nie wyrównałem deficytów swego urodzenia. Ale nie jest to moim zmartwieniem. Nie w takiej buchalterii jest klucz do oceny człowieka. Po pierwsze, los człowieka kształtuje w dużej mierze przypadek miejsca i czasu, w którym przyszło mu żyć. To one decydują, że jeden zostaje bohaterem albo prezydentem, a drugi zostaje kierowcą, nie odbierając kierowcy z godności tego zawodu. Nie sztuką jest zostać właścicielem wielkiej kancelarii prawnej po ojcu i dziadku. Sztuką jest pokonać dystans od „pucybuta” do profesora, nie łamiąc po drodze reguł przyzwoitości.

Tak więc urodziłem się w małopolskiej wiosce, piętnaście kilometrów od Tarnowa, z której wówczas wiodła w świat jedna droga – położona o dwa kilometry stacja kolejowa Biadoliny. Można było z niej dojechać na wschód: do Tarnowa, Rzeszowa, Przemyśla, a na zachód: do Krakowa, na Śląsk, a nawet do Warszawy. Ta linia kolejowa wrosła w moją pamięć w sposób szczególny. Biegła równolegle do ulicowej zabudowy mojej wsi w odległości dwóch kilometrów. Te dwa kilometry to ułożone zagonowo pola uprawne, miejsce moich obowiązków pasterskich i innych, czasem uciążliwych prac polowych. Za każdym razem, kiedy po torach pędził pociąg do Przemyśla czy Krakowa nie mogłem oderwać od niego oczu. Był dla mnie statkiem wiozącym do nieznanego, ale w mojej intuicji – lepszego świata. Chyba podświadomie chciałem się w nim znaleźć. Nie towarzyszyła temu żadna niechęć do rodzinnej wsi, jakies

dotkliwe pragnienie ucieczki, ale nieuświadomione, lub przytłumione pragnienie wyfrunięcia do tego innego świata. Może to atawistyczna potrzeba zmiany terytorium, zdobyczości...? Pociągi te, w naszej gwarze nazywane były nazwami miast do których zmierzały: Przemyśl, Krynica, Kraków, Katowice..., służyły także jako czasomierze. Wiadomo było bowiem o której godzinie „leci” Krynica, a o której Przemyśl. Regulowały czas obowiązków i orientowały w ich trwaniu. Ja wiedziałem, że po Przemyślu mogę zabierać się z krowami do domu.

To wyobrażenie symbolicznej funkcji tych pociągów było tak żywe i długotrwałe, że kiedy po wielu latach wsiałem do jednego z nich w drodze na egzaminy wstępne do Warszawy w 1957 roku, to odnosiłem wrażenie, że właśnie on wypełnia swoje zadania wobec mnie. Nie czułem lęku, ani podniecenia. Czułem swoiste spełnienie jego funkcji, wypełnianie się normalnego porządku, tyle, że tym razem ja w nich czynnie uczestniczyłem. Oto wiezie mnie do lepszego świata. Dziś powiedziałbym, że wioził mnie do innego, a nie lepszego świata. Dzisiaj przed torami kolei biegnie autostrada Wrocław–Przemyśl, a w perspektywie Berlin–Kijów. To też miara przemian i funkcji miejsca.

Ten świat, w którym zacząłem dorastać i rozwijać się, był okropny i piękny. To sprzeczność ale tylko z pozoru, bo przecież były to czasy powojennej biedy, niedostatku wszystkiego. A moja rodzina poddana była na domiar prześladowaniom ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Trzech moich braci należało w czasie okupacji do AK. Po wojnie była to organizacja reakcyjna i wroga ustrojowi – jak głosiła ówczesna propaganda. Mimo tzw. „ujawnienia się” i zdania posiadanej broni, UB nie przestało nękać rodziny nalotami, re wizjami, groźbami. Dwaj bracia, chcąc żyć normalnie i uczyć się – zagubili się na ziemiach zachodnich we Wrocławiu i w Opolu. W panującym tam wówczas bałaganie repatriacyjnym można było się zgubić i spokojnie żyć. Starszy brat skończył nawet studia. Młodszego jednak odnalazło UB i próbowało nie dopuścić do matury. Za radą dyrektora szkoły napisał skargę do prezydenta Bieruta. Sam fakt wystarczył, że UB odpuścił i brat złożył maturę. Najstarszy zaangażował się w ruch oporu, został aresztowany i po doraźnym procesie rozstrzelany razem z dwoma towarzyszami. Zostali zrehabilitowani w 1993 roku.

Braci nie było z nami, ale UB regularnie robiło naloty na dom. Pamiętam ukrywanie się z mamą w piwnicy u sąsiadów. Pamiętam podróże z paczkami do uwięzionego ojca, który w zastępstwie za synów był przetrzymywany bez sądu w więzieniu. Takie były czasy. Pełne grozy i absurdów.

Mimo tego, nie pamiętam abym się bał. W tej piwnicy, u boku mamy odczuwałem raczej zaciekawienie niż lęk. Może to był schemat dziecka bawiącego się „w chowanego”. Była w tym także jakaś pewność, że wokół piw-

nicy naszej kuzynki są przyjaźni ludzie, że ochronią przed obcą siłą, nieprzyjazną władzą. Kiedy UB w stodole wykryło skład broni wyszabrowanej jeszcze Niemcom – też byłem bardziej zaciekawiony niż przestraszony. A to był wówczas *casus belli*, który zaprowadził ojca do więzienia, mimo że był w tej sprawie niewinny.

Przy tej okazji pojawia się nowe znaczące miejsce i jakiś rodzaj nowego spojrzenia na nie. Tym miejscem było więzienie UB w Brzesku, gdzie przetrzymywany był ojciec po aresztowaniu. Mama donosiła mu paczki. Zawsze mnie zabierała. Korzystaliśmy z furmanek, które akurat jechały na targ do Brzeska, ale czasem spory kawał trzeba było iść piechotą. Do samego aresztu nie wpuszczano, tylko pod bramą odbierano pakunki. Potem wyczekiwaliśmy na ulicy, aby przez okno uzyskać jakiś znak od ojca, albo innych aresztowanych. Czasami w takich okolicznościach byliśmy świadkami doprowadzania różnych osób do więzienia. Zapadła mi w pamięci scena jak dwaj ubecy prowadzili aresztowanego, i jak publicznie, „bez skrępowania”, bili go, a on się bronił, więc bili go jeszcze mocniej... Dziś oceniam to jako swoistą lekcję wychowania politycznego „z natury”. Zapadł mi w pamięć wizerunek systemu, bezwzględnych praw władzy i bezbronności obserwatorów. Gdybyśmy pozostali w takim systemie, gdyby moje dzieci przeszły podobne lekcje pogładowe, być może nasza mentalność ukształtowałaby się podobnie jak tych, dla których władza ma wszelkie prawa i jeśli bije, tzn. ma prawo i zapewne robi to słusznie. Pełno w naszym świecie podobnie opresyjnych systemów, które trwają przez wiele pokoleń, odbierając ludziom nawet wyobrażenie o prawach człowieka, o demokratycznym państwie, gdzie obywatel jest podmiotem. Na szczęście nasze losy potoczyły się inaczej i dziś takie wspomnienia potrafią tylko pomagać w interpretacji uległości ludzi chowanych przez pokolenia w reżimach totalitarnych.

Kiedy kilka lat później zacząłem naukę w Okocimiu, to idąc do szkoły przechodziłem obok owego aresztu. Patrzyłem na to miejsce jak na złowrogą personifikację władzy. Władzy obcej, wrogiej, której jedyną funkcją była właśnie opresja. Innych funkcji władzy nie doświadczyłem. Bo trudno uznać za dobrodziejstwa władzy możliwość nauki... Chociaż, jak dziś wiemy, w innych opresyjnych reżimach komunistycznych władze nie pozwalały na naukę dzieciom wrogów ludu. A ja zaliczałem się do takiej kategorii.

Po śmierci Stalina życie się trochę unormowało. Bracia mogli wrócić do w miarę normalnego życia. Natomiast materialnie życie stało się jeszcze cięższe. Naciski na kolektywizację wyrażały się nakładaniem ciężarów, tzw. obowiązkowych dostaw. Ci, którzy się nie wywiązywali z tych drakońskich ciężarów – szli do więzienia. Zamykano ich na jesieni, kiedy prace polowe zostały

zakończone, a zwalniano na wiosnę, aby mogli przygotować owe „obowiązkowe dostawy”, za które państwo płaciło grosze. Z mojej wioski do kryminału szło kilku gospodarzy.

Wielu ekonomistów jest zdania, że pierwsze kroki w industrializacji kraju dokonały się kosztem drastycznej eksploatacji wsi. A wieś mimo to żyła własnym życiem, całkowicie wolna od jakichkolwiek wyobrażeń i praktyk obywatelskich, w przekonaniu, że nie ma nic wspólnego z tą władzą. Jediną formą obywatelskiego zaangażowania była tradycyjna Ochotnicza Straż Pożarna o wiekowej już historii. To wówczas narodziło się pojęcie „oni” na określenie obcej narośli na życiu narodu – władzy politycznej.

Moje życie upływało na wypełnianiu dwóch funkcji; ucznia, co dość lubiłem i pastucha, co lubiłem średnio. Ale godziłem się z rolą, bo po pierwsze inaczej nie było można, a po drugie, to były moje niezakłócone niczym godziny obcowania z książką. Nie do pomyslenia było, abym wyszedł z krowami w pole bez książki. Krowy, sądzę, też były z tego zadowolone, bo mój nadzór nad nimi był bardziej nominalny niż rzeczywisty. Miałem też ten komfort, że rodzice w pełni tolerowali moje czytelnicze upodobania i godzili się na nieuniknione szkody wyrządzane przez krowy.

Szkoła była siedmioletnia. Ukończyłem ją z nie najgorszym wynikiem i poszedłem do liceum w Okocimiu. Liceum mieściło się w pięknym pałacu barona Goetza, założyciela browaru Okocim. Trudność polegała na tym, że oprócz dwóch kilometrów, które dzieliły mnie od rodzimej stacji kolejowej, miałem do przebycia jeszcze pięć – od stacji Brzesko do szkoły w pałacu Goetza. Czternaście kilometrów dziennie to było trochę za dużo i dlatego na zimę zostałem umieszczony na stacji u bardzo miłych i uczciwych ludzi, których syn chodził do tej samej szkoły. Kiedy przysła wiosna, podróże i wędrowki do szkoły tam i z powrotem także wróciły. Dlatego postanowiłem przenieść się do liceum w Tarnowie, które od stacji Tarnów Zachodni dzieliło jedynie 800 metrów. To była olbrzymia różnica i ulga.

Nie mogę bez komentarza zostawić okoliczności, że decyzję o pójściu do szkoły średniej podjęły z mojej klasy tylko dwie osoby. Dziś, kiedy jadę do swojej wsi dowiaduję się, że niemal 100% absolwentów kontynuuje naukę. Czy to dzieci zdolniejsze? Czy może mentalność rodziców się zmieniła? A motywacja dalszej nauki w moim przypadku, to nie tylko rzekome uzdolnienia do nauki; to bardziej okoliczności społeczne, które pojawiły się w mojej rodzinie. Całe moje rodzeństwo, wszyscy ode mnie starsi kształcili się dalej po szkole podstawowej i w trybie dziennym lub zaocznym kończyli studia wyższe. Tajemnica tej rodzinnej prawidłowości leży w obecności w życiu rodziny najstarszego brata ojca, który był księdzem. Zgodnie z panującym w tam-

tych czasach obyczajem głos brata-księdza miał moc wiążącą. To on wyznaczył każdemu bratankowi kierunek i poziom kształcenia. A, że był światłym księdzem, to uznał, że dzieci trzeba kształcić. Nie było więc w mojej rodzinie żadnych wątpliwości co do dalszej edukacji. Starsi bracia jeszcze przed wojną ukończyli szkoły średnie, a po wojnie zgodnie z depozytem stryja kształcili się dalej. Ta zasada objęła i mnie, choć ksiądz stryj zginął w Oświęcimiu, aresztowany za sprzyjanie świętokrzyskiej partyzantce. Był proboszczem w Stuziannie nad Pilicą.

W pamięci mojej więcej jednak zachowało się detali miejsca niż wizerunków ludzkich. Oprócz najbliższych – mamy, taty, rodzeństwa, inne postacie są mgliste, bez osobistych cech, bez fotograficznej dosłowności. Są zasnutę mgłą czasu. Nawet wizerunki moich ówczesnych koleżanek i kolegów ze szkoły są niewyraźne. Natomiast obrazy miejsc są tak wyraziste i dokładne, że prawie kolorowe, pachnące, jakbym je wczoraj odwiedził. Pola, łąki, lasy, rzeka, strumyki stoją mi przed oczami ze wszystkimi detalami, z zapachem kwiatów, szumem rzeki... Zdaje mi się słyszeć świergot koników polnych, szelest wody w Uszwicy i inne detale tamtej przyrody. Pamiętam wzruszenie, kiedy wracałem na pierwsze wakacje i szedłem przez pola wśród łąnów dojrzewającego zboża. Nic już w życiu, nawet zapierające dech w piersiach widoki ze szczytów Alp, nie miały takiej mocy poruszającej jak te łąny zboża. Pamiętam je wyobraźnią, ale jeszcze chyba żywiej pamiętają je moje emocje. Stąd może płynie moje zamiłowanie do włości po lasach i polach, gdzie za każdą kępą trawy kryją się tajniki przyrody, narodzin i zamierania. To właśnie ta przyroda jest główną ojczyzną moich wspomnień, mojej pamięci. W mniejszym stopniu dom, zabudowania, wystrój izb, kuchni...

Po zmianie szkoły z Okocimia na liceum tarnowskie rozpoczął się dla mnie nowy, świadomy okres dorastania. Wszystko zgodnie z fazą wieku biologicznego. Skończyło się dzieciństwo, które mimo wspomnianych przelotnie niedostatków materialnych, powszechnych wówczas i dramatycznych napięć politycznych, zachowuję w pamięci jako czas dobry. Mimo wszystko pełen poczucia bezpieczeństwa, wynikających z klimatu uczuciowego rodziny. Dziś znam teoretyczne przesłanki takiego stanu ducha dziecka, ale czym innym jest tego doświadczyć i odczuć na całe życie moc kapitału czerpanego z bliskości rodzinnej, opieki i świadomości akceptacji od rodziców. Odczuwam także to uczucie bliskości i jakiegoś wsparcia wynikające stąd, że wszyscy wokół to znajomi. Byli dziadkowie, ciotki, wujkowie, chrzestni. Każdy sąsiad to swój, znajomy. Każda rodzina znana z nazwiska, imienia, składu. Ponieważ byłem w rodzinie najmłodszy, a rodzeństwo miałem liczne: 6 braci i siostrę, to większość młodych ludzi było kolegami moich bliskich, stąd oczywista do-

słowność bliskości. Na własnym przykładzie czułem co oznacza zjawisko powszechnej identyfikacji. Wszystko to składało się na poczucie bezpiecznego dzieciństwa, choć obiektywnie nie było ono ani sielskie, ani takie bezpieczne. Takie ono jednak zostało w mojej pamięci i z takim bagażem bezpieczeństwa i ufności poszedłem w szeroki świat. W tym bagażu, może w kapitale wiary, iż jestem ze świata oswojonego, normalnego, prawomocnego kulturowo, leży źródło mojej siły, braku kompleksów, ufność w sprawczą moc własnej pracy, własnego wysiłku jako słusznej drogi do przodu, bez oglądania się na układy, koncyliacje, kompromisy. To niekoniecznie mądre podejście, bo w naszym świecie kompromis, pertraktacje, nawet ugodowość są pożytecznymi socjotechnicznymi sprawnościami. Kiedy trafiłem do Warszawy na uniwersyteckie studia filozoficzne, to ja, wiejski chłopak nie miałem żadnego poczucia upośledzenia. Mimo że otaczali mnie młodzi warszawiacy, z inteligentkich rodzin, ze znajomością języków, z dorobkiem na innych studiach, obytych w świecie. Sytuacja wymuszała jednak pewien rodzaj izolacji. Kiedy oni szli do kawiarni, albo oddawali się dyskusjom w kole naukowym, to ja szedłem do roboty zdobytej w „Plastusiu” (spółdzielni studenckiej); a to skopać ogródek emerytce, a to wycyklinować podłogę (wówczas bardzo popularne, ale ciężkie zajęcie), a nawet rozładować z kolegami wagony z węglem. Praca dla mnie była normalnością i miarą mojej zaradności i oczywiście koniecznością, bo zdobyte pieniądze to szansa na dostęp do dóbr „luksusowych” – nowej koszuli, nowych butów, a nawet wstępu do kawiarni.

Zmienność miejsca – stałość pamięci

Kiedy wybiegam myślą ku przeszłości i ogarniam wyobraźnią Warszawę jako miejsce życia, działania, wspomnień, to identyfikuję ją jako rodzaj instrumentarium życiowego, gdzie działałem, do czegoś dążyłem, coś załatwiałem, poruszałem się tramwajem czy rowerem, ale wszystko to bez emocji; te były słabe lub żadne. Choćby taki przykład: zaraz na początku studiów zaangażowałem się w działalność w ruchu ludowym. Często odwiedzałem gmach partii ludowej. Miałem tam wielu znajomych, kolegów... Kojarzyło mi się to miejsce jako swojskie, przyjazne. Ale mimo to nie wiąże z nim jakiś szczególnie ciepłych emocji, jak np. z gmachem mojej szkoły podstawowej czy z liceum w Okocimiu, na które przy każdej okazji patrzę z sentymentem, jak nie przymierzając na „starą miłość”. Wątki emocjonalne związane z Warszawą jako miejscem życia i, bądź co bądź miejscem wszelkiego mojego awansu społecznego, są słabe, niemal żadne – w porównaniu choćby do mojej stodoły z lat młodości. Spanie w niej latem na sianie, to cały koncert wzruszeń

i emocji. To zaczarowany świat okryty ciemnością, to piszczące myszy, polujące na nie w ciszy koty, czasem odgłosy jakiegoś „grubszego” zwierzęcia, np. lisa, przed którym cichły i myszy, i koty.

Ja byłem jakimś fragmentem tej biologicznej ekologii i tę jedność odczuwam do dzisiaj.

Myślę, że w moim dzieciństwie, trudnym materialnie, ale bezpiecznym emocjonalnie, tkwi źródło mojej postawy wobec „wielkiego” świata, który nie rzucił mnie na kolana, nie zniewolił pozorami. Źródłem godności i autonomii szukałem gdzie indziej niż w zabiegach o towarzyską aprobatę „elity”. Warto zresztą przyznać, że owe elity nie były tak hermetyczne jak dzisiaj, nie nosiły głów w chmurach. Wymagały tylko drobnych koncesji, drobnych serwitutów z czasu i zachowania. Ale na to ja nie miałem czasu. Zresztą charakter studiów, ich atmosfera, kadry wybitnych ludzi nie sprzyjały wytwarzaniu się hierarchicznych układów, stratyfikacji „klasowej” lub jakiegokolwiek innej.

Moim szkołom zawdzięczam cały intelektualny kapitał. W podstawówce czytaniem zaraziła mnie nauczycielka Julia Bugajska, prywatnie moja kuzynka, która prowadziła też bibliotekę. Byłem jej stałym klientem. W liceum w Okocimiu doznałem pierwszego uczucia satysfakcji z oceny mnie jako kogoś wartościowego. Kiedy mój wychowawca, profesor Gurgul dowiedział się, że staram się o przeniesienie do Tarnowa to głośno, choć żartobliwie się sprzeciwił wyrażając opinię, że nie zgadza się na pozbycie się takiego pilnego ucznia. W Tarnowie zaś zostałem dość wszechstronnie oszlifowany przez wspaniałą kadrę nauczycieli i wychowawcę – profesora Henryka Zasadę, notabene przesiedleńca z Warszawy, który zorganizował nam wycieczkę do swego rodzinnego miasta. Był rok 1955. Warszawa była jeszcze wielkim gruzowiskiem. I to chyba główne wrażenie z wyjazdu do stolicy. Tarnów wydawał mi się bardziej uładzony, bardziej miejski niż Warszawa. Ale to był też pierwszy pobyt w teatrze, w muzeum, jakieś wyjście z kręgu lokalności wiejsko-małomiasteczkowej w szerszy świat.

Moja klasa była dość zgranym, spójnym zespołem bardzo różnych ludzi. Część, podobnie jak ja, dojeżdżała z okolic Tarnowa. Większość pochodziła z tzw. Mościc; miejscowości zbudowanej wokół zakładów chemicznych założonych przez inżyniera Mościckiego, na obrzeżach Tarnowa, późniejszego prezydenta RP. Dziś to integralna część miasta. Nie było między nami żadnych napięć, żadnych animozji środowiskowych, mimo że część naszych kolegów było dziećmi lokalnej elity intelektualnej. Stanowiliśmy zgodną wspólnotę. Miejscowi górowali nad nami wynikami w nauce. Nie wszystko można tym wytłumaczyć, ale w świetle dzisiejszych doświadczeń i badań jakie sam prowadziłem wiem, że dojazdy do szkoły są czynnikiem obniżającym w pew-

nym sensie i stopniu sprawność nauczania. Miejscowi wywodzili się też ze środowisk o znacznie wyższym kapitale kulturowym niż my, dojeżdżający z okolicznych wsi. Kiedy wiele lat po maturze zaczęliśmy się spotykać co roku na zjazdach klasowych, znowu nie było żadnych różnicowań towarzyskich. Natomiast okazało się, że miejscy Koledzy znacznie częściej niż nasze, wiejskie środowisko, legitymuje się zakończonymi studiami. To pewna norma, którą trzeba zrozumieć i uznać za rodzaj środowiskowej determinacji. Inna tradycja i inna hierarchia aspiracji.

Dla moich rodziców mój zamiar pójścia na studia był tak naturalny, że w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Moi rodzice wykazywali się także niezwykłą dla rodziców tolerancją i zaufaniem w racjonalność moich wyborów. Zresztą trudno im było doradzać mi, bo przecież oni mieli ukończone tylko uniwersytety życia: troski, pracy, miłości do dzieci... Formalnie byli absolwentami czteroklasowej szkoły polskiej w zaborze austriackim. Na dowód, że to była polska szkoła potrafili recytować patriotyczne wiersze i śpiewać polskie, patriotyczne piosenki. No, ale to był zabór austriacki, a nie pruski, lub co gorsza – rosyjski, gdzie za samo mówienie po polsku groziła kara. Na systemie szkolnictwa wyższego mało się znali. Zostało mi po nich głębokie przekonanie, że nie uniwersytety czynią człowieka wielkim. A tacy właśnie byli moi rodzice. Gdybym miał szukać wzorów osobowych wielkości, to pierwszym przykładem dla mnie są moi rodzice: Matka i Ojciec.

Los człowieka zawiera dwa znaczenia. Jedno to kształt życia wyrażony statusem społecznym, zawodem, funkcjami, układem rodzinnym, rolami społecznymi..., czyli to wszystko, co składa się na zewnętrzny wizerunek osoby. Drugie znaczenie losu człowieka to jego wybory moralne, jego zachowania w sytuacjach granicznych, jego reakcje wewnętrzne na zdarzenia i próby losowe, jednym słowem – całe wyposażenie duchowe. W moim mniemaniu miejsce i pamięć o przeszłości na ten pierwszy status człowieka są ograniczone, albo nawet mało znaczące. Los człowieka w tym znaczeniu kształtują okoliczności przypadkowe, wybory zdeterminowane momentem w którym zaszły. Proszę sobie wyobrazić nasze indywidualne losy w sytuacji, gdyby nie nastąpiła tzw. transformacja ustrojowa i przyszło nam żyć 30 kolejnych lat w systemie tzw. realnego socjalizmu. Kim bylibyśmy dzisiaj? Tacy sami? To, jacy bylibyśmy w sensie odczuć wewnętrznych, „wskaźnika” przyzwoitości, skłonności do nieprawości (to pojęcia o głębokim sensie w dawnym systemie socjalistycznym), zależałoby w dużej mierze od tego, kto nas wychował, z jakiego miejsca się wywodzimy, jakie wpojono nam zasady. Ile w tamtym naszym pierwotnym „miejscu” było prawości, ile koniunkturalizmu, ile gotowości do poświęcenia, a ile indywidualnego egoizmu...?

Wybrałem całkowicie egzotyczny dla mojego środowiska kierunek studiów: Szkołę Główną Służby Zagranicznej. Była to w owych czasach jedna ze szkół partyjno-państwowych, która akurat na fali odwilży w 1957 roku została zlikwidowana. Odesłano mi papiery z „odpowiednią” adnotacją. Postanowiłem złożyć dokumenty na równie egzotyczny dla mojego środowiska kierunek studiów – filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, bo wówczas tylko na tym uniwersytecie otwarto takie studia. Dlaczego tu? – pytała ze zdumieniem na egzaminie wstępnym Pani Profesor Janina Kotarbińska. I wcale nie miała na myśli Warszawy, lecz właśnie filozofię, którą wybiera chłopak z dalekiej wsi. Tłumaczyłem mętnie, że to wpływ wybitnego filozofa francuskiego Politzera¹, którego czytałem przy krowach. Politzer nie był ani wybitny, ani specjalnie filozof. Był to francuski komunizujący propagandysta; w demoludach takie prace wydawano masowo i rozsyłano nawet do gminnych bibliotek. Tak trafił do mnie, a ja, pod jego wpływem, nabrałem krytycznego sądu o idealizmie poznawczym G. Berkeleya i zdumiałem (a sądzę, że w duchu rozbawiłem) komisję egzaminacyjną pryncypialną krytyką jego solipsyzmu poznawczego. Komisja była chyba tak ubawiona moim radykalizmem sensualistycznego poznania wspartego przez autorytet Feuerbacha, że uznała za właściwe przyjąć taki okaz na studia.

Chyba jednak bardziej niż egzamin zapamiętałem na całe życie moment otrzymania zawiadomienia o przyjęciu na studia. Był sierpień, w polu zaczynały się ciężkie prace, a listonosz przyniósł mi list w momencie kiedy wykonywałem jedną z najcięższych i mało przyjemnych prac – wyrzucanie ze stajni obornika. Charakter tej pracy mogą ocenić tylko znający ją i pojąć całą wymowę tej koincydencji. Otóż umorusany otwarłem list i poznavszy jego zawartość rzuciłem się na Mamę z radości mało jej nie dusząc i głośno krzycząc, że oto skończyłem z gnojem... Mama dzielając moją radość trzeźwo jednak orzekła: „ale robotę musisz skończyć”! Przywołując tamto zdarzenie, budzi się we mnie uczucie szacunku dla każdej przyzmy obornika, którą widzę na polu.

Tak rozpoczął się nowy etap mojego życia...

Obiektywnie rzecz biorąc, albo kierując się zdroworozsądkowymi kryteriami, to dopiero tutaj, w Warszawie, na Uniwersytecie rozpoczęło się moje „znaczące” życie. Przecież w ocenie każdego, kto czyta ten tekst, jakieś lata pasania krów, chodzenia do wiejskiej szkółki, pospolite zabawy z kolegami z sąsiedztwa nie mogą się równać znaczeniem ze studiowaniem filozofów starożytnych. Specjalizowaniem się w etyce normatywnej, z nawiązywaniem rela-

¹ Georges Politzer (1903–1942), francuski filozof, teoretyk marksistowski.

cji z ludźmi działającymi w rządzie (to byli koledzy ludowcy, a w tej partii zawsze istniał klimat całkowitej fraternizacji). To właśnie należałoby powiedzieć o Warszawie: „to tutaj wszystko się zaczęło”! Nic bardziej mylnego. Warszawę, Uniwersytet, swoistą „karierę” polityczną traktowałem pragmatycznie; jako pewne narzędzie do realizacji celów, głównie osobistych. Zresztą doświadczenia szybko wyleczyły mnie z romantyzmu młodzieńczego, ze złudzeń o posłannictwie lub z innych miazmatów romantycznych. Pamiętam wspaniałe nastroje 68 roku. Znowu zryw, znowu nadzieje... Na uniwersytecie jedyna organizacja niepodlegająca ścisłej kontroli to koło członków ZSL i stowarzyszone z nami ZMW. Na fali uniesienia uchwalamy płomienny manifest wolnościowy, łączymy się w tym dziele z tzw. Międzyuczelnianym Komitetem ZSL. To była już znacząca liczebnie i politycznie organizacja. Wieść się roznosi. Przyjeżdża tego samego dnia do nas na zebranie Kol.(ega), (oficjalna forma tytułowania się ludowców) Józef Ozga-Michalski, vice prezes ZSL, członek Rady Państwa. Jest z nami, podziela nasze poglądy, bierze naszą petycję/apel – jutro nasza prasa (mamy dwa dzienniki: Zielony Sztandar i Dziennik Ludowy) ogłosi nasz manifest!!!

Nazajutrz czytamy, że organizacja młodych ludowców wszystkich uczelni Warszawy oraz młodzież akademicka zrzeszona w ZMW gorąco popiera program przewyciężenia kryzysu społecznego w naszej ojczyźnie wywołanego przez nieodpowiedzialne elementy... itd., itp. Szok, wstyd, zdążyliśmy się pochwalić, rozgłosić... Pamiętam miny młodych ZMS-owców, którzy sąsadowali z naszym pokojem na małym dziedzińcu...; nasz bunt wobec władz partii ludowej, przyjęty życzliwie i ze spokojem jak jakieś objawy choroby, za którą trudno się gniewać na chorego... Dziś wiem, że i tak nas chronili, bo to było przejście na stronę elementów syjonistycznych – grzech ciężki, zagrożony anatemą.

Czy z takimi miejscami, ludźmi, przeżyciami można było mieć relacje emocjonalne, pozytywne, intymne ciepło. Czy mógł się kształtować etos szlachetnej walki o prawdę, prawo, godność? A większość tych burzliwych lat mojego wchodzenia w świat dojrzały miała taki charakter. Jedyny z nich pożytek, to opanowanie swoistej sztuki mimikry, pozwalającej przetrwać. Ale fakt, że mimo prowadzenia aktywnej politycznej i społecznej aktywności – mogłem bez obrzydzenia patrzeć na siebie w lustrze zawdzięczam pewnej odporności na zachowania łajdackie utrwalone przez proste prawdy wyniesionych z rodzinnych klimatów kształtowanych imperatywami kategorycznymi płynącymi z wszechobecnego dekalogu, choćby się z nim doktrynalnie nie identyfikowało: nie kłam, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa...

Ale równocześnie żyłem też w innym świecie, w świecie nauki i instytucjonalnie w Katedrze Pedagogiki Społecznej kierowanej przez mojego mi-

strza, profesora Ryszarda Wroczyńskiego. To był całkowicie inny świat. Był to w pewnym, umownym sensie, świat mego dzieciństwa – przetworzony przez kulturę wysoką i wysublimowane parametry relacji międzyludzkich, określające stosunki do wartości naczelných, do humanizmu, do obowiązku i powinności. Na to nałożyły się cechy ludzi w tej Katedrze zgromadzonych, ludzi uogólnionej życzliwości, bezinteresownej spolegliwości, zdrowej, wzajemnej inspirującej rywalizacji. To, co czuję do dzisiaj jako ważną osobistą orientację, to uczucie przynależności do grona tych ludzi; to uczucie identyfikacji z instytucją jako najważniejszą instytucją mojego życia. Dlatego utrata jej „posiadania” wskutek niefortunnych manipulacji, uważam za jedną z większych porażek życia. I nie ambicje grają tu główną rolę. To uczucie porażki wiąże się ze szczególnym charakterem tego miejsca, miejsca niezwykłych – w moim odczuciu – cech, wartości, a przede wszystkim ludzi, których ukształtował taki skromny, drobnej postury człowiek – profesor Ryszard Wroczyński.

Pamięć to trwanie

Te klimaty miejsca, a szczególnie domu tworzącego atmosferę aprobaty, świadomości, że jest się na miejscu właściwym, że dominującym uczuciem jest świadomość przynależności do kręgu bliskich uczuciowo osób, do kręgu lokalnej wspólnoty – daje poczucie swoistej pewności swojego miejsca i roli, swoistego poczucia niezależności. Można by sparafrazować powiedzenie pochodzące z kinowej kultury masowej i powiedzieć, „moc jest we mnie”, rozumiejąc przez to, że mam zinternalizowane poczucie wagi osobistego znaczenia, wynikające z wiary w prawomocność swego środowiska domowego, lokalnego, jego racjonalność, jego atrybuty kulturowe, moralne, religijne, czyli wszystko to, co nadaje środowisku mojego życia poczucie tożsamości, niezależności od innego otoczenia... Dlatego może nigdy mi nie zależało na aprobacie innego otoczenia, innego środowiska. Uważałem: taki jestem (w domyśle – jestem w porządku) i takim mnie możecie zaakceptować lub nie. Wasze zmartwienie, nie moje! Tam chyba rodzi się autonomia i tożsamość – w domu, w lokalności...

Sądzę, że z narracji biograficznej autora wypływa niezwykle ważna konstatacja: oto człowiek, który zawodowo zajmował się filozofią, który pracę magisterską napisał z etyki normatywnej – cały swój system aksjologiczny wywodzi genetycznie z klimatu i miejsca domu rodzinnego. Swoje imperatywy kategoryczne opiera na doświadczeniach i regułach życia rodziny i lokalnej społeczności. Czy jednak możemy uznać, że jest to reguła uniwersalna? Może ważna, ale na ile generalna? W każdym razie dla refleksji pedagogicznej takie ustalenia są godne co najmniej namysłu.

Jestem przekonany, że na los i kondycję człowieka należy spojrzeć także przez jego osobistą biografię zanurzoną w przeżyciach emocjonalnych wywołanych osobistymi wspomnieniami, sentymentalnymi więziami z własną przeszłością, przez miejsca, którym człowiek przypisuje realne albo i nierealne znaczenia i wpływy. Miejsca budzące uczucia na tyle ważne, że dostarczają wzruszeń, że do nich się powraca. I do takiej narracji o roli pamięci mego miejsca – moich miejsc – pragnę nawiązać na marginesie jednostkowej biografii.

Literatura

- Demetrio D. (2009), *Pedagogika pamięci. W trosce o nas samych, z myślą o innych*, Łódź.
- Jarosz E. (2010), „Bez zuchwałości, ale i bez lęku”. Rozmowa z Profesorem Tadeuszem Pilchem o życiu, nauce i pedagogu społecznym, [w:] *Pedagogika społeczna. Przestrzenie życia i edukacji*, Konopczyński M., Theiss W., Winiarski M. (red.), Warszawa.
- Lewicka M. (2012), *Psychologia miejsca*, Warszawa.
- Nora P. (2011), *Między pamięcią a historią: les lieux de memoire*, tłum. M. Borowski, M. Sugiery, Didaskalia nr 10.